

## W KRASNEJ ARMII I W SOC GORODZIE

Wspomnienia Adka Redlicha

część III

Pod koniec 1943 roku wzięto mnie do Armii Czerwonej. Z początku skierowano mnie do obozu za Akmolińskiem<sup>1</sup>. Dzisiaj to znane w świecie miejsce, skąd wylatują w kosmos rosyjskie sputniki. Tam przeszedłem króciutkie przeszkolenie.

Pewnego poranka oficerowie zaprowadzili nas w pole i kazali strzelać do celu. Mieliśmy strzelać z karabinu ładowanego pięcioma kulami – staromodnej rosyjskiej strzelby, której kompletnie nie znaliśmy. Po każdym wystrale broń silnie uderzała w ramię i trzeba było robić ruch, który wyrzucał wypaloną kulę, aby móc strzelać dalej. Tak wyglądała większość wyposażenia Czerwonej Armii.

Ku mojemu kompletnym zdziwieniu trafiłem idealnie do celu. Jakiś oficer wywołał mnie z szeregu żołnierzy i pochwalił. Dużo później ten sam oficer (na szczęście Żyd) zwrócił mi uwagę, że w radzieckim wojsku na pochwałę powinienem odpowiedzieć: „Służę Związкови Radzieckiemu! Śmierć niemieckim okupantom! Niech żyje Stalin!”

### Na kursie snajperów

Ponieważ nadal dobrze strzelałem, skierowano mnie na krótki kurs snajperów. Tam dopiero, moim zdaniem, nauczyłem się celnie strzelać. Na froncie snajperów szedł na tak zwane „kukuszki” – w dobrze zamaskowane miejsce, wyposażony w specjalny karabin z lornetką. Jego zadaniem było uważnie śledzić

żołnierzy niemieckich i strzelać tylko wówczas, kiedy zauważy niemieckiego oficera z wysoką rangą. Miało to wywoływać postrach u przeciwnika. Czy ten system rzeczywiście działał, mam wątpliwości.

Podczas kursu snajperów zdarzyło się coś, ci na zawsze zostało mi w pamięci. Postawili mnie na wartę dość daleko od obozu. Był mroźny, śnieżny dzień, a na dodatek zamieć, dlatego miałem stać tylko godzinę. Prócz broni dostałem rosyjski zegarek wielkości chyba budzika. Stałem na warcie, minęły dwie godziny i nikt mnie nie zmieniał. Czułem że zamarzam i postanowiłem wystrzelić dwie świecące się kule. To mnie chyba uratowało. Okazało się, że inni szukali mnie, ale w zamieci nie mogli znaleźć.

I jeszcze jedno zdarzenie wryło mi się głęboko w pamięci. W radzieckim wojsku był zwyczaj, świadczący niby o demokracji, ustawiania od czasu do czasu całego batalionu w szeregach. Dowódca je przechodził, a od czasu do czasu zatrzymywał się i zadawał żołnierzowi jakieś pytania. Odpowiedzi mało go obchodziły, bo na codzień istniał w Czerwonej Armii szalony dystans między żołnierzem a oficerem, nie tak jak u nas. Pewnego dnia podczas takiego przeglądu oficer szedł szybko między szeregami, prawie nikogo o nic nie pytając, aż niedaleko mnie zaczął się zatrzymywać i stawiać każdemu żołnierzowi to samo pytanie – skąd pochodzi. Zatrzymał się także przy mnie i zapytał: „Czy ty przypadkiem nie jesteś z miasta Amchu?” „Tak jest”, odpowiedziałem twierdząco. Ruszył dalej i szybko przeszedł resztę szeregów nikogo więcej o nic już nie pytając. Nie mam pamięci do nazwisk, ale jego nazwisko pamiętam do dzisiaj – starszy lejtnant Podoksin. Zaledwie kilka lat później zetknęliśmy się znów i było to przykre i tragiczne spotkanie.

Kilka dni po tym przeglądzie nagle wieczorem przyszedł do mnie żołnierz z poleceniem, abym natychmiast zgłosił się do tak zwanego Specjalnego Oddziału. W sowieckim ustroju żołnierz otrzymujący taki rozkaz łąpał łyżkę i natychmiast zjadał resztki jedzenia, jakie posiadał, bo po kontakcie z tą instytucją mógł szybko znaleźć się w wagonie jadącym do łagru, często nawet nie wiedząc za co. Poślaniec zaprowadził mnie do ciemnego pokoiku, w którym prawie nic nie widziałem. Czekałem jakiś czas, a potem inny żołnierz wprowadził mnie do kolejnego pokoju. tym razem mocno oświetlonego, Na krzesłach siedziało w nim kilku oficerów wysokiej rangi, wśród nich również Podoksin. A pośrodku stał stół – gęsto zastawiony jedzeniem i różnymi smakołykami.

Stałem oniemiały na bacność, z ręką przy czapce. Jakaś starsza pani w randze pułkownika, rozumiejąc moje oszołomienie, podeszła do mnie i delikatnie zdjęła moją rękę z czapki. Później dowiedziałem się, że była naczelnym lekarzem dywizji. „Wiedz, że dzisiaj jest Rosz ha-Szana<sup>2</sup> naszego narodu” – powiedziała. Ku mojemu zdumieniu zaprosili mnie do stołu.

Dopiero później zrozumiałem, dlaczego urządzili całą tą pseudo komedię z przeglądem. Chcieli być pewni, że jestem Żydem. I pojąłem, na jak wielkie niebezpieczeństwo narażali się ci oficerowie urządzając potajemnie obchody żydowskiego Nowego Roku.

Jakiś czas później niespodziewanie skierowano mnie z Akmolińska do Nowosybirsk<sup>3</sup>. Zostałem włączony do małej grupy, której zadaniem było dostarczanie nowo zmobilizowanych żołnierzy do obozu niedaleko Nowosybirsk. Tak kolejno znalazłem się w Semipałatyńsku, Czelabińsku, Omsku, Tomsku, Chabarowsku i może w jeszcze dwóch innych miejscowościach, których nazw już nie pamiętam. Tam również przeżyłem zdarzenie, które pozostało mi na zawsze w pamięci.

Wysłano nas, czterech żołnierzy razem z saniami ciągniętymi przez psi zaprzęg, do Wierchojańska<sup>4</sup>. Mieliśmy sprowadzić nowych żołnierzy. Przypomniałem sobie, że w szkole uczyłem się, iż Wierchojańsk jest biegunem zimna i temperatura może dochodzić tam do – 72 stopni poniżej zera. Miasto znajduje się daleko na północy, ale na niskie temperatury wpływają też specyficzne warunki topograficzne. Kiedy tam przyjechałem, było tylko - 68 stopni. Stwierdziłem jednak, że tak duże zimno człowiek lżej tam znosi niż na Uralu, gdzie temperatura jest znacznie wyższa, ale wieją tam straszliwe wiatry.

W Wierchojańsku jedynym środkiem lokomocji były wówczas sanie. A mieszkańcy byli bardzo dziwni. Czas dla nich jakby się zatrzymał i nie wiem, czy dochodziło do ich świadomości, że toczy się straszliwa wojna. Świadczy o tym nieprzyjemny dla mnie incydent. Zabraliśmy stamtąd kandydatów na żołnierzy i stawiliśmy się z nimi w Nowosybirsku u komendanta. Na drugi dzień wezwał nas i ordynarnie objechał: „Po cośmy mu przywieźli takie śmieci?” Jak dowiedziałem się później, nie miał ochoty męczyć się z ich przeszkoleniem i odesłano ich do domu. Mnie z powrotem skierowano do Akmolińska.

### **Szeregowy u Funzego**

Tydzień po powrocie do Akmolińska skierowano mnie w małym oddziale żołnierzy na dworzec kolejowy, nie mówiąc nam, gdzie pojedziemy. Była ciemna i zimna noc. Nagle złapał mnie jakiś oficer i wprowadził do wagonu. Wiedziałem, że to nie moja jednostka i nie mój oddział, i próbowałem tłumaczyć, że to chyba pomyłka, ale nikt nie zwracał na moje słowa uwagi. Ja też, będąc wiecznie wygłodniały i widząc pierwszorzędne jedzenie, jakie dostałem, szybko przestałem protestować.

Grupa, w której się znalazłem, jak okazało się później, była skierowana na kursy wojskowej w Akademii im. Frunzego<sup>5</sup>, najważniejszej uczelni akademickiej w

radzieckiej hierarchii wojskowej. I tu tkwi sedno sprawy. Stalin procesami politycznymi lat trzydziestych wyniszczył kadry wojskowe Armii Czerwonej aż do najwyższych rang. Wskutek tego w czasie II wojny oficerowie niższych rang z konieczności i w szybkim tempie awansowali często do bardzo wysokich szarż – nie mając najmniejszego teoretycznego wykształcenia wojskowego. Trzeba ich było również w szybkim tempie doksztalać. Z takich właśnie oficerów składała się grupa, do której trafiłem.

Przyjechaliśmy do obozu między Omskiem a Tomskiem<sup>6</sup> – celu podróży moich oficerów. Byłem z początku w panicznym strachu, bo kto zechce uwierzyć w moją historię, że nie jestem nic winien, iż się tu znalazłem, ale w końcu przestałem o tym myśleć. Ubrano nas wszystkich jednakowo, w wojskowe mundury bez dystynkcji, jedynie ze znakiem wojskowego kursu. Chodziliśmy na wykłady, które bardzo mi się podobały i zdawało mi się, że rozumiem ich treść lepiej od większości innych.

W dobrych stosunkach z uczestnikami kursu byłem do pierwszej niedzieli. W ten wolny od zajęć dzień, inaczej niż w tygodniu, wszyscy wkładali pełny mundur z szarżami i oznakami. Ja ubrałem swój mundur szeregowca. Od tej chwili wszyscy starali się trzymać wobec mnie dystans. Z początku myślałem, że winna jest moja najniższa z możliwych ranga, ale nie. Okazało się, że posądzali mnie, iż znalazłem się wśród nich jako wtyczka władz. Czułem, że moja obecność na tym kursie może się dla mnie źle skończyć.

Rzeczywiście, pewnej nocy dostałem rozkaz, bym natychmiast stawił się w sztabie ze spakowanymi w plecaku wszystkimi moimi rzeczami. Przyjął mnie pułkownik w średnim wieku. Ostro i z miejsca zaczął mnie wypytywać, jakim sposobem i po jakiego czorta tutaj się znalazłem? Opowiedziałem mu całą prawdę. Wysłuchał mnie i z uśmiechem powiedział, że mimo, iż moja historia brzmi niczym bajka dla dzieci, to mi wierzy. Kazał mi usiąść i czekać na niego, po czym wyszedł zostawiając mnie w panicznym strachu. Wrócił po kilku minutach i wręczył mi mój nowy wojskowy dokument, opatrzony pieczętką, który informował, że jestem zwolniony z armii na mocy jakiegoś paragrafu z odpowiednim numerem. Dał mi też zaświadczenie o zwolnieniu z wojska oraz wojskowe suche jedzenie na kilka dni. Potem złapał mnie za ramię i powiedział, żebym natychmiast ulotnił się z obozu nie żegnając się z nikim. W swojej naiwności zapytałem go jeszcze, gdzie mam jechać? Rozzłościł się i powiedział, że nawet na księżyc, ale zaraz się uspokoił i powiedział, że ma się rozumieć do matki. Rozkazał mi, abym natychmiast się wyniósł, jeśli chcę uniknąć dużych nieprzyjemności. Tak też zrobiłem. Wsiadłem do pierwszego pociągu, który przyjechał na stację.

## Film kowbojski na posterunku

Pociąg, jak się okazało, jechał do Czelabińska<sup>7</sup>. Zaprzyjaźniłem się w nim z dwoma zdemobilizowanymi z wojska żołnierzami, którzy byli poważnie ranni i po zwolnieniu ze szpitala również jechali do Taszkientu. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, jakim szczęśliwym trafem było dla mnie spotkanie ich. Bardzo mi później pomogli. W ogóle w tak straszliwych czasach miałem dużo szczęścia do ludzi.

Jechaliśmy i opowiedziałem im, że mój ojciec, który jest w Magnitogorsku, już dawno uzyskał dla nas prawo pobytu wspólnie z nim i przestał dla matki i dla mnie odpowiednie dokumenty, pozwalające nam do niego przyjechać, ale miejscowy komendant milicji odmawia ich wydania. Nieoficjalnie żąda za nie po kilogramie masła od osoby, ale nie mamy na to pieniędzy. „Zostaw to nam – powiedzieli – pojedziemy z tobą i zobaczysz, że nie tylko załatwimy tę sprawę, ale raz na zawsze nauczymy go, jak ma podchodzić do problemów żołnierzy”.

W Czelabińsku przesiedliśmy się i jeszcze kilka dni jechaliśmy do Taszkientu. Nie brałem poważnie ich zapewnień o pomocy, ale jednak obawiałem się konsekwencji ich działań na milicji, które mogliśmy z matką ponieść.

Był poranek kiedy dojechaliśmy do małej stacji kolejowej Kyzultu, kilka kilometrów od Sary Agaczy. Moi nowi koledzy wysiedli ze mną i powiedzieli, że wstępujemy do matki po dokumenty, ale w żadnym wypadku nie zabieramy jej na posterunek. W domu nie dali mi nawet chwili czasu na rozmowę z mamą. Wzięliśmy dokumenty i od razu poszliśmy na milicję. Kiedy dzisiaj wspominam, co się tam rozegrało, mam wrażenie, że były to sceny z jakiegoś kowbojskiego filmu, a nie rzeczywistość. Oni po prostu brutalnie wtargnęli na posterunek i nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty urzędników weszli wprost do biura naczelnika. Tam najpierw wyłączyli telefon przewracając biurko, a później złapali go za gardło i rzucając przekleństwami pod jego adresem zaczęli krzyczeć, że kiedy inni przelewają krew na froncie, on znęca się nad ludźmi. Rozkazali mu natychmiast wypisać dla nas dokumenty i nie słuchali jego wykrętów, że musi mieć czas do jutra. Powiedzieli, że mogą mu pomóc dobitniej zrozumieć, co ma zrobić. Tamten szybko pojął, że z tymi dwoma nie ma żartów i że naprawdę może się to dla niego źle skończyć. Natychmiast wydał nam potrzebne dokumenty.

Wyszliśmy z posterunku i szybko wróciliśmy do matki. Moi koledzy mówili, że naczelnik może chcieć się zemścić, więc musimy natychmiast wyjechać. Szybko coś zjedliśmy, spakowaliśmy się i wszyscy razem poszliśmy na stację kolejową. Moi przyjaciele zapewniali nas, że możemy być spokojni – nie zostawią nas samych aż do chwili, kiedy znajdziemy się w wagonie. Wiedzieli, że to nie takie proste, mimo że kupiliśmy bilety.

Rzeczywiście, przyjechał pociąg, ale drzwi wejściowe były zamknięte, a na takiej małej stacji skład stał bardzo krótko. Zasadniczo drzwi wagonów często były zamykane przez konduktorów, bo w ten sposób mogli dostać coś w rękę od pasażerów i dorabiali sobie do marnej pensji. Moi koledzy pomogli matce wejść na pomost nad zderzakami, podali jej nasze rzeczy, a na końcu podadzili mnie i pomachali nam serdecznie życząc powodzenia. Teraz łatwo dostaliśmy się do środka wagonu. Konduktorka widząc nasze bilety nie mogła nas już wyrzucić.

Jechaliśmy do ojca kilka dni z przesiadką. Matka rozłożyła się na ławce na dole, a ja usadowiłem się na naszych rzeczach na wysokiej półce. Był luty 1944 roku, kiedy dotarliśmy do Magnitogorska.

### **Pałac w Soc Gorodzie**

Z dworca pojechaliśmy tramwajem pytając po drodze ludzi, gdzie mamy wysiąść, aby dostać się do osiedla pracowników kombinatu metalurgicznego. W Magnitogorsku była jedyna linia tramwajowa ciągnąca się kilka kilometrów z dworca na drugi koniec miasta. Wysiedliśmy na wskazanym nam przystanku i szliśmy dość daleko, często przechodząc przez tory kolejowe. Ojciec nie wiedział o naszym przyjeździe i był w pracy. Kierownik dużego parterowego budynku, w którym mieszkał, przyjął nas serdecznie, ale powiedział, że musimy poczekać, aż tata wróci z pracy.

Ojciec gdy się zjawił nie mógł uwierzyć, że przed nim stoimy i że znowu jesteśmy razem. Ponieważ mieszkał w małym pokoiku z jeszcze jednym pracownikiem, tymczasowo umieszczono nas w dużym pokoju wykorzystywanym na co dzień na zebrania. Spędziliśmy tam kilka dni, a ojciec tymczasem porozumiał się z panią Lipszyc, która była odpowiedzialna za mieszkania robotników. Po kilku dniach dostaliśmy od niej tymczasowe, według jej zapewnienia, mieszkanie. Był to skromnie umeblowany pokój w dużym baraku. Na stanie była też solidna siekiera służąca do wyrąbywania sobie przez zamarznięty śnieg przejścia do ubikacji, które znajdowały się na dworze. Prawdę mówiąc nie za bardzo wierzyliśmy, że to rzeczywiście będzie nasze tymczasowe lokum. Mieszkaliśmy tam jednak mniej więcej miesiąc. Któregoś popołudnia po pracy ojciec podniecony przybiegł do domu trzymając w ręku klucze. Wołał, że dostaliśmy nowy pokój od pani Lipszyc, tak jak nam przyrzekła. Sam jeszcze go nie widział, więc powiedział, że mnie zabiera i jedziemy go zobaczyć – tym bardziej, że dostaliśmy też przydział na trzy łóżka z trzema materacami i stół z trzema krzesłami. Matka musiała zostać w domu, bo w tym prymitywnym baraku zawsze ktoś musiał zostać w pokoju, żeby nie skradziono nam rzeczy.

Pojechaliśmy tramwajem. Nowe mieszkanie znajdowało się na ulicy Czajkowskiego nr 3. Jak na sowieckie warunki była to dzielnica doskonała. Nazywała się Soc Gorod – Socjalistyczne miasto. Weszliśmy na piętro do naszego pokoju i mieliśmy uczucie, jakbyśmy znaleźli się w pałacu. Był to jednopiętrowy długi dom z kilkoma wejściami. Każde wejście prowadziło do czterech jednopokojowych mieszkań na piętrze. Parteru nie było. Przed mieszkaniem w pierw były jedne drzwi, a potem drugie i tak chroniły nas przed zimnem. Mieliśmy centralne ogrzewanie, czynne zależnie od tego, jak chcieliśmy. Były również podwójne okna i mała łazienka z ubikacją. Jak później się dowiedzieliśmy, ten niby luksus został przygotowany jeszcze zanim władzę w Niemczech objął Hitler dla niemieckich inżynierów, którzy rozpoczęli budowę zakładów przemysłowych Magnitogorska.

Sąsiad z naprzeciwka pokazał nam, gdzie możemy otrzymać nasze meble z przydziału. Okazało się, że było to niedaleko. Poszliśmy tam szybko i wszystko otrzymaliśmy, ale powstał problem, jak mamy te rzeczy przenieść. Wpadłem na pomysł żeby jedno z łóżek postawić odwrotnie i położyć na nie inne sprzęty. Znaleźliśmy stary sznur, którym wszystko powiązaliśmy i ciągnąc łóżko niczym sanie po śniegu, zaczęliśmy powoli posuwać się naprzód. Nagle ktoś zaczął nas okłaskiwać z przylegającego domu. Był to jeden z naszych sąsiadów, jak później się okazało pan Gawryłow, naczelnik dużego cechu zatrudniającego paruset robotników. Miał żonę, synka i pokój z małym balkonem. Ten balkon otrzymał, bo miał kozę, którą na nim trzymał. Wygląda to na kiepski dowcip, ale taka była sowiecka rzeczywistość. Nawiasem mówiąc Gawryłowie byli bardzo sympatycznymi ludźmi. Jego żona po jakimś czasie powiedziała mi, że kiedy była małym dzieckiem jej rodzice jako kułacy zostali pozbawieni swojej ziemi i wysiedleni do Kirgizji.

Natychmiast po dotaszczeniu do mieszkania naszych mebli wróciliśmy do mamy i zaczęliśmy przewozić w nowe miejsce nasz dobytek, wiele razy jeżdżąc tramwajem tam i z powrotem. Na koniec i mama pojechała z nami, żeby nacieszyć się nowym mieszkaniem.

### **Najpierw studia, potem matura**

Zacząłem poważnie zastanawiać się nad tym, co mam dalej ze sobą zrobić. Pomógł mi szczęśliwy przypadek. Rano, kilka dni po zamieszkaniu w nowym pokoju, wybrałem się do miejskiej biblioteki połączonej z dużą czytelnią. Czytałem gazety, gdy przy moim stoliku stanęła jakaś pani i zapytała, czy może obok mnie usiąść. Jasne, zaprosiłem ją. Zaczęliśmy rozmawiać i przedstawiła mi się jako dr Dołgoszeja, kierowniczka katedry fizyki stosowanej na politechnice w

Magnitogorsku. W pewnym momencie spytała mnie, jakie posiadam wykształcenie i jakie mam plany. Odparłem jej szczerze, że przerwałem naukę. Nic nie powiedziała, ale pod koniec rozmowy niespodziewanie oświadczyła, że porozmawia z rektorem politechniki, czy mogą mi pomóc.

Spotkaliśmy się po dwóch dniach. Przyszła z informacją, że zostałem przyjęty na politechnikę – choć z zastrzeżeniem, że do końca roku akademickiego muszę przedłożyć maturę. Aby ją otrzymał ona i rektor radzą mi zapisać się do specjalnej szkoły dla pracujących. Była to szkoła działająca na dwie zmiany: pierwsza zaczynała się rano, druga, ucząca tego samego programu, o piątej po południu. Tak więc rano zacząłem chodzić na wykłady na politechnikę, a po południu uczyłem się w szkole. Po roku nauki zdałem maturę – a jednocześnie otrzymałem świadectwo ukończenia pierwszego roku akademickiego.

Jak później się dowiedziałem, rektor politechniki – niski, łysawy i noszący duże okulary – nazywał się prof. dr Malina i był Żydem, jak ja. Również pani Dołgoszeja była Żydówką, wdową po oficerze Czerwonej Armii, Rosjaninie poległym na wojnie przeciw Niemcom. Mieszkała razem z małą córeczką i swoją matką. Dołgoszeję poznałem bliżej, bo kilka razy zostałem do niej zaproszony, gdzie spotkałem również grono jej znajomych. Ciekawe, że podczas tych spotkań jeden szczególnie uszedł mojej uwadze – wszyscy oni byli narodowości żydowskiej.

Na uczelni szło mi dobrze. Z czasem zacząłem pomagać w matematyce synkowi rodziny Gawryłow, później przybył mi jeszcze jeden uczeń. Rodzice chłopców postanowili dawać mi za każdą lekcję po małym wiaderku kartofli. Pamiętam jaki byłem z tego dumny i zadowolony, bo mogłem także pomóc w domu.

Otrzymałem kartę studenta z fotografią, która niedługo potem bardzo nam się przydała. Ojciec postanowił, że mama więcej do pracy nie pójdzie. Baliśmy się jednak kontroli, bo w czasie wojny każdy w Związku Radzieckim musiał być gdzieś zatrudniony. Któregoś mroźnego poranka byłem w domu sam. Ojciec był w pracy, matka gdzieś wyszła – gdy niespodziewanie przyszła kontrolerka, młoda przemarznięta dziewczyna. Z miejsca zaczęła krzyczeć i wypytywać mnie podniesionym głosem, dlaczego nie pracuję. Powiedziałem, że jestem studentem i pokazałem jej legitymację. A ona przez pomyłkę, nie zwracając uwagi na różnicę imion i wieku, zapisała w swoich papierach, że to matka jest studentką. Dokument trafił zapewne do odpowiednich akt i tak już do końca pobytu w Rosji mieliśmy spokój.

Na studiach miałem dwóch bliskich przyjaciół. Jeden był Żydem i nazywał się Wołodia Margulis, drugi – również Wołodia – nazywał się Batałow i był Rosjaninem, jego rodzina od pokoleń żyła na Syberii. Margulis mieszkał niedaleko nas, jego starszy brata robił już doktorat. Jego rodzice pochodzili z Łodzi, w której i ja się urodziłem, ale opuścili Polskę jeszcze w czasie I wojny

światowej. Co do Batałowa, nigdy w życiu bym nie przypuszczał, że spotkam go po pięćdziesięciu latach na ulicy w Tel Awiwie.

Mieszkaliśmy wtedy już w Giwatajim<sup>8</sup>, przy ulicy Kacnelsona. Pojechałem po coś do sąsiedniego Ramat Ganu, gdzie na ulicy Bialika ktoś zaczął wołać po rosyjsku: „Adik, Adik!” Nie przyszło mi do głowy, że mnie woła. Ale tamten, starszy już mężczyzna, dogonił mnie i mówi po rosyjsku: „Adik, nie poznajesz mnie? Przecież jestem twoim starym kolegą! Wołodia Batałow”. Oczywiście, że wiedziałem, kim jest i że go rozpoznałem, ale byłem zdumiony, bo co on, Rosjanin, robi w Izraelu? Uprzedził moje pytanie i mówi, że nie jest turystą, jest ole hadasz. Ożenił się z Żydówką i niedawno przyjechali do Izraela. Ich syn już dość dawno tu żyje, ożenił się z Izraelką i mieszkają w Hajfie. Nagle mówi: „Chwileczkę, przecież ty znasz moją żonę. Na pewno ją pamiętasz”. Na politechnice był zwyczaj urządzania na zakończenie roku akademickiego zabawy i zapraszania na nią dziewcząt z ostatniej klasy pobliskiego gimnazjum. „Pamiętasz?”, pyta. Oczywiście, że to pamiętałem. „Przetańczyłeś z moją przyszłą żoną cały wieczór”, mówi. O mało nie wybuchłem śmiechem. Jak miałem pamiętać, z kim tańczyłem dziesiątki lat temu? A on dalej opowiada, że z emigracji do Izraela w zasadzie jest zadowolony, w odróżnieniu od jego żony. Zatrudnił się jako inżynier w jakimś przedsiębiorstwie i pracuje z robotnikami Rumunami. Porozumiewa się z nimi po niemiecku, który znał doskonale, bo wiele przepracował wiele lat we wschodnich Niemczech, wysłany tam przez partię. Mieliśmy się spotkać, ale po kilku tygodniach zadzwonił z informacją, że zdecydowali się jednak wyjechać do Ameryki, gdzie mają jeszcze córkę. I tak kontakt z nim się urwał.

### **Antysemitka na Allenby**

Przypominają mi się inne podobnie zaskakujące spotkania w Izraelu, więc skorzystam z okazji i przeskoczę w czasie, by je opisać.

Było to krótko po tym, jak przyjechaliśmy do kraju<sup>9</sup>. Pojechałem po coś do Tel Awiwu i chciałem przejść na drugą stronę ulicy Allenby<sup>10</sup>, by pójść na rynek, kiedy jakaś kobieta, która w przejściu stała na schodach, powiedziała do mnie: „Ty jesteś z Poznania”. Byłem zaskoczony, a ona mówi, że jest doktor Kwaśniewska. Niemożliwe! To była moja super antysemicka nauczycielka historii z gimnazjum w Obornikach! Zaczęliśmy rozmawiać i w pewnym momencie zapytała: „Czy nie dziwi cię, co ja, która tak nie lubię – a może i więcej – Żydów, szukam w tym kraju?” Rzeczywiście, byłem tego ciekaw. Staliśmy blisko cukierni Kapulskiego, więc zaprosiłem ją na kawę.

Żartowano wówczas, że jak ktoś zwraca się tam do kelnerki po hebrajsku, a nie po polsku, to ludzie patrzą na niego, jakby wylądował przy stoliku z innej planety. Usiedliśmy i od razu, bezpośrednio i szczerze, powiedziała mi: „Wiedz, że nie cierpiałam Żydów i nie kocham was także dzisiaj, ale nie mogłam spokojnie patrzeć, jak Niemcy mordują bestialsko niewinnych ludzi, a szczególnie dzieci”. W czasie wojny, opowiadała, została wysiedlona z Poznania i znalazła się w Warszawie. Była świadkiem, jak bijąc ludzi Niemcy wraz z granatową policją wyprowadzali Żydów do getta. Wsunęła jednemu z polskich policjantów pieniądze w łapę i wyciągnęła z tej grupy jakieś małżeństwo z malutkim dzieckiem. Zabrała ich do siebie, a następnego dnia zawiozła ich do wioski, gdzie miała po rodzicach mały dom. Tam ukrywali się aż do wyzwolenia.

Krótko po wojnie ta rodzina opuściła Polskę. Dzisiaj tamta mała dziewczynka ma już własną rodzinę i jest religijna. Mieszkają w Jerozolimie w dzielnicy Me'a Sze'arim<sup>11</sup> – co wówczas nic mi nie mówiło. Pani Kwaśniewska przyjechała do Izraela na krótko, na usilne prośby tej kobiety, którą uratowała. Sama mieszka teraz w Anglii, wyszła za Anglika i wykłada na uniwersytecie historię narodów słowiańskich. Kiedy się żegnaliśmy powiedziała mi jeszcze – z charakterystycznym dla siebie patosem, który pamiętałem ze szkoły: „Tu jest wasz kraj i tylko wasz. A jak inni was nie kochają czy nie znoszą, to ich sprawa. Nikt nie zmusza ich, by was odwiedzali”.

Na tej samej ulicy Allenby jakiś czas po wojnie sześciodniowej<sup>12</sup> miałem jeszcze jedno dziwne spotkanie. Przechodziłem obok polskiej ambasady, która wówczas tam się znajdowała i nie zauważyłem, że ktoś mnie woła a potem biegnie za mną. Nagle jakiś mężczyzna mnie obejmuje, ściska i pyta, czy go nie poznaję? Przyznam, że nie go nie poznałem. Był moim kolegą szkolnym z Obornik, siedzieliśmy razem w jednej ławce w gimnazjum. Nazywał się Piwarski i o ile pamiętam był synem kierownika miejscowej agencji pocztowej. Ożenił się z Angielką i teraz mieszka w Anglii, opowiada, był z żoną i małą córeczką w jakiś sprawach biznesowych do Japonii, i w drodze powrotnej postanowili odwiedzić święte miejsca w Izraelu.

Zaprosili mnie do kawiarni, gdzie jego żona, która mówiła trochę po niemiecku, żartowała, że kiedy jej mąż nagle zostawił ją z córką same na ulicy i zaczął biec pomiędzy autami, a potem obejmować i ściskać jakiegoś faceta, myślała, że dostał udaru słonecznego. Nie mieli przecież żadnych znajomych Żydów w Anglii, a tym bardziej w Izraelu.

Wracając do przeszłości – byliśmy w Magnitogorsku do 1946 roku. Ukończyłem tam pierwszy rok studiów, a potem połowę drugiego. Po tych wszystkich przeżyciach, których doświadczyliśmy w Związku Radzieckim, prowadziliśmy tam w miarę spokojne życie.

Najbardziej może pamiętam historyczny dzień 9 maja 1945 roku, kiedy zakończyła się straszliwa II wojna światowa. Nie zapomnę tych obrazów do końca życia. Radość ludzi była wielka i naturalna, spontaniczna, w żaden sposób nie zorganizowana. Wszyscy nawzajem się całowali i obejmowali, niezależnie od tego, czy się znali czy nie. Sprzedawcy rozdawali za darmo wódkę i zakąski, które częstokroć były całym ich majątkiem. Nad ranem całe miasto, nie wyłączając pracowników tramwajów, leżało pokotem pijane. Cud, że nie doszło do żadnego nieszczęścia. Nawet ja, choć niepijący, byłem lekko pijany.

Adam Redlich

*Ciąg dalszy nastąpi.*

*Przedrukowywanie tekstu dozwolone jedynie za zgodą rodziny i Chaim/Życie.*

---

<sup>1</sup> Akmolińsk – obecnie Nur-Sultan, stolica Kazachstanu.

<sup>2</sup> Rosz ha-Szana – żydowski Nowy Rok.

<sup>3</sup> Nowosybirsk – nieoficjalna stolica Syberii, trzecie największe miasto w Rosji.

<sup>4</sup> Wierchojańsk – nieduże miasto na Syberii, w Jakucji, za kręgiem polarnym, jedno z najzimniejszych miejsc na półkuli północnej.

<sup>5</sup> Akademia Wojskowa im. Michaiła Frunzego funkcjonowała w Moskwie w latach 1918-1998.

<sup>6</sup> Miasta w zachodniej części Syberii.

<sup>7</sup> Czelabińsk – miasto na Uralu, w azjatyckiej części Rosji, ośrodek przemysłowy.

<sup>8</sup> Giwatajim – miasto w aglomeracji Tel Awiwu, leżące pomiędzy nim i miastem Ramat Gan. Z oboma nimi płynnie się łączy.

<sup>9</sup> Adek Redlich wyemigrował z żoną i dwoma synami z Polski do Izraela w 1957 roku.

<sup>10</sup> Ulica Allenby – jedna z głównych ulic Tel Awiwu. Biegnie od morza w głąb miasta i nadal jest pełna małych sklepików, ale dziś czasy świetności ma już za sobą.

<sup>11</sup> Me'a Sze'arim – jedna z najstarszych dzielnic Jerozolimy. Jej nazwa po hebrajsku znaczy Sto Bram. Mieszkają w niej religijni Żydzi charedim i chasydzi.

<sup>12</sup> Wojna sześciodniowa – wojna izraelsko-arabska, która trwała od 5 do 10 czerwca 1967 roku. W jej wyniku Izrael zdobył Synaj, Zachodni Brzeg ze wschodnią Jerozolimą, Gazę i Wzgórza Golan.